



**ALFRED
SIATECKI**

**PENSJONAT
POD
SOSNAMII**

**ALFRED
SIATECKI**

**PENSJONAT
POD
SOSNAMI**

© Copyright by Alfred Siatecki & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-8166-508-7

ISBN druk: 978-83-8166-511-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2026

PROLOG

Im Adam był starszy, tym częściej dociekał, dlaczego nazywa się Wagner, zaś jego jedyna i o dwa lata młodsza siostra jest Neumann. Matka odpowiadała, że Margaretha wyjdzie za mąż i zostanie panią Schmidt, Müller czy Merkel lub Novákovą albo nawet Kowalską. Urodzi dzieci, które będą nazywały się tak jak ich ojciec. Skoro Adam nie nosi nazwiska Neumann, jak ojciec Margarethy i mąż matki, to kto jest jego ojcem? Matka czasem zaciskała usta i odwracała głowę lub rzadziej, śmiejąc się, machała ręką, jakby to, kto jest jego ojcem, teraz nie miało żadnego znaczenia. To był grzech studenckiej młodości, jaki już nigdy się nie zdarzy.

Musiało mu wystarczyć zapewnienie, że ma kochającą matkę, która interesuje się tym, jak mu idzie w szkole, pyta o koleżanki i kolegów, czy na pewno chce zostać rzeźbiarzem, bo to ciężki kawałek chleba, i codzienne zasypuje go mnóstwem podobnych pytań.

Dopiero dzień po osiemnastych urodzinach matka weszła do jego pokoju, usiadła na brzegu łóżka i wyjawiała, że jest synem Adama, dlatego ma takie imię. W Niemczech rzadko spotykane, ale przecież bardzo

ładne. Pierworodny syn powinien mieć dwa imiona: pierwsze takie, jakie podoba się obojgu jego rodzicom, drugie po ojcu. On ma jedno, ponieważ wtedy, kiedy się urodził, matka nie wiedziała, jakie imię by się spodobało jego ojcu, kazała więc urzędnicze stanu cywilnego napisać Adam. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o swoim ojcu, ale matka powiedziała, że nic więcej nie wie, po czym skarciła go wzrokiem i zrobiła taką minę, że już nie miał odwagi dociekać.

W dowodzie osobistym Adama Wagnera, wydanym przez urząd nadburmistrza Lipska, w rubryce „imiona rodziców”, figurują Adam i Eva.

– Jak biblijni rodzice – powiedziała matka.

– Biblijni rodzice mieli dużo dzieci – odburknął, chociaż nie był tego pewny. – A biblijna Eva nie ukrywała przed swoimi dziećmi, kto jest ich ojcem.

Jako student berlińskiego Universität der Künste¹ znowu chciał wiedzieć, dlaczego nazywa się Wagner, tak jak dziadek i jak matka, zanim wyszła za mąż za Horsta Neumanna. Któregoś dnia matka odpowiedziała, że Wagner jest bardzo starym i ładnym nazwiskiem. Gdyby nie to, że po zamążpójściu kobieta powinna przyjąć nazwisko męża, co nie jest nakazem, a jedynie dobrze widzianym zwyczajem, szczególnie przez męża i jego rodzinę, pozostałaby Evą Wagner. Nazwisko to nosiło wielu utalentowanych ludzi, między innymi Richard – jeden z najwybitniejszych twórców dramatu

¹ Universität der Künste (niem.) – Uniwersytet Sztuk Pięknych.

muzycznego, tak jak Adam urodzony w Lipsku, Heinrich Leopold – pisarz okresu burzy i naporu, Edward – lipski kartograf i geograf, Franz Joseph – malarz i grafik, którego sudecki pejzaż, odkąd pamięta, wisiał na głównej ścianie jadalni w jej rodzinnym domu, Johan Martin i jego syn Johan Peter – sławni rzeźbiarze z Würzburgu, Julius – noblista w dziedzinie fizjologii i medycyny. Wagnerów można spotkać w Ameryce, Francji, Polsce, nawet w Uzbekistanie i Korei. Bez wątplenia najwięcej osób z tym nazwiskiem żyje w Niemczech. Po ukończeniu studiów na uniwersytecie Adam będzie rzeźbiarzem, więc nazwisko Wagner nie tylko pomoże mu zostać cenionym artystą, lecz i znaleźć się wśród laureatów Nagrody Albrechta Dürera.

Niedługo później odważył się dociekać, dlaczego matka została żoną dużo starszego od niej Horsta Neumanna. Domyślał się, że nie z wielkiej miłości ani ze względu na majątek, a dlatego, że była drugi raz w ciąży, teraz ze swoim szefem. Wyszła za niego, kiedy miała prawie trzydzieści lat, żeby nie zostać starą panną z dwojgiem nieślubnych dzieci. Gdy tę kwestię prześwieślał razem z Margarethą, siostra powiedziała, że pragnieniem każdej normalnej kobiety jest być mężatką i kochanką oraz urodzić dzieci i mieć taki dom, w którym miłość jest na pierwszym miejscu. Ona, gdyby znalazła się na miejscu matki, postąpiłaby identycznie. Kobieta i mężczyzna powinni razem dbać o swoje dzieci.

Adam nie zapamiętał, kiedy i od kogo usłyszał lub gdzie przeczytał, że każdy człowiek jest sam dla siebie

tajemnicą. Jedyna prawda o tym człowieku jest znana tylko temu człowiekowi. Nikt z zewnątrz nie zna prawdy o nim, nawet jeżeli twierdzi, że ją poznał. Zresztą prawd może być tyle, ilu ludzi je odsłania.

Tego, że matka jest chora na raka, Adam dowiedział się od ojca Margarethy, który nigdy nie dał mu odczuć, że nie jest jego synem. I że nawet usunięcie obu piersi, co się stało w renomowanej Universitätsklinikum, nie gwarantuje powrotu do zdrowia. Niedługo po tej rozmowie matka przyznała mu się, że spotkała Adama podczas wakacji po czwartym semestrze uniwersyteckiej germanistyki. Wiedziała o nim tyle, że przyjechał do Lipska w ramach wymiany studenckiej. Czy pochwalił się, kim będzie po ukończeniu studiów na Politechnice Zielonogórskiej, nie pamiętała. Wydawało jej się, że coś mówił o energetyce lub elektrotechnice albo o elektronice. Zresztą wtedy to nie miało żadnego znaczenia. Ważniejsze było, że jest przystojny, wysoki i umięśniony, wyczynowo uprawiał zapasy, a to dyscyplina wymagająca od sportowca wszechstronności. Kiepsko znał niemiecki, troszkę lepiej posługiwał się angielskim. Mijali się wielokrotnie w jadalni i na korytarzach, ale tylko raz znaleźli wspólny język. Było to podczas wieczorku pożegnawego w klubie studenckim. Pili piwo, rozmawiali i tańczyli, zresztą jak wszyscy Niemcy i Polacy, którzy przyszli do StuKu. Wiele razy się zastanawiała, dlaczego zgodziła się pójść z nim do akademika. Obudziła się nad ranem. Wstała, ubrała się po ciemku i bez słowa wyszła.

O tym, że od trzech miesięcy była w ciąży, usłyszała od lekarza podczas obowiązkowych badań, gdy zaczynała piąty semestr studiów.

– Moja choroba jest karą boską za tamto w młodości – powiedziała to takim głosem, jakby się z tym pogodziła, mimo że była niewierząca. Po chwili orzekła: – Popełniłam błąd.

Młodość jest po to, żeby popełniać wszystkie możliwe błędy – pomyślał Adam, jakby usprawiedliwiał matkę.

Eva Neumann umarła dwa miesiące po tamtej rozmowie. Tak jak sobie życzyła, urnę z jej spopielonym ciałem rodzina kazała umieścić w kolumbarium na Cmentarzu Engelsdorf. Na marmurowej płycie oprócz imienia i nazwiska, które miała w dowodzie osobistym wydanym zaraz po zamążpójściu, było również nazwisko panięskie Wagner, co nikogo nie dziwiło, ponieważ taki zwyczaj zaczyna panować w Lipsku.

Po śmierci matki Adam nie przestał interesować się tym, kto jest jego ojcem. Wynajął firmę detektywistyczną Malonczyk, jak się okazało, założoną przez polskiego emigranta zaraz po zburzeniu muru berlińskiego, która miała swoje filie w kilku państwach środkowej Europy. Na efekt jej pracy czekał więcej niż pół roku, ale się opłaciło. Właściciel agencji mógł zaprosić go do swojego biura, lecz wyznaczył spotkanie w prowadzonej przez jego znajomą Café Wagner przy Placu Richarda Wagnera, ulubionej kawiarni Adama, co miało dowodzić, że dużo o nim wie. Tam powiedział, że detektyw Koziołek z polskiej firmy Kris, współpracującej

z Malonczykiem, wytropił mężczyznę, który może być jego biologicznym ojcem. Wysoki, dobrze zbudowany, chociaż już otyły, był zapaśnikiem, nawet zdobył tytuł akademickiego mistrza Polski, studiował architekturę energetyczną, jako student podczas wakacji wyjeżdżał do Lipska i czeskiego Brna. Po otrzymaniu dyplomu magistra inżyniera pozostał na uczelni, najpierw pracował jako asystent i adiunkt, a po uzyskaniu habilitacji zajął gabinet dyrektora Instytutu Konstrukcji Elektroenergetycznych. Jest uważany za wybitnego specjalistę w zakresie architektury energetycznej, magazynowania i zarządzania zasobami energii. Bezdzietny. Nie ma rodzeństwa. Mieszka na Raculi, w willowej dzielnicy Zielonej Góry, gdzie jego żona Brygida, z domu Wróblewska, prowadzi Pensjonat pod Sosnami. Test na ojcostwo przeprowadziła zielonogórska filia Zakładu Genetyki Sądowej w Gliwicach na podstawie dostarczonych próbek, czyli wymazu z jamy ustnej Adama i materiału pobranego z łyżeczki, którą wytropiony mężczyzna zjadł lody w uczelnianym Barze u Bachusa.

– Proszę. – Malonczyk uruchomił smartfon i położył go na stoliku przed Adamem Wagnerem. – Tak wygląda. Nazywa się Adam Stelmach.

– Czy jestem do niego podobny?

Milcząc, detektyw kiwnął głową.

CZEŚĆ PIERWSZA

Po znajomości

1.

– Operacja się udała. Pacjent żyje! – woła roześmiana Jagoda, wkraczając zamaszystym krokiem do izby chorych. – W dodatku położyli cię w jedyńce, zaraz za dyżurką pielęgniarek. Adam, ty zawsze masz kurewskie szczęście. Żona, kochanka i jeszcze pielęgniarka. A ja, gdybym musiała wegetować na szpitalnym łóżku, wolałabym być w takiej sali, gdzie leży kilka pacjentek, żeby było z kim pogadać.

– Wolę spokój – odpowiada Stelmach.

Jagoda nie przyznaje się, że przyjechała prawie godzinę temu i tak długo siedziała w Lexusie, aż zobaczyła Brygidę wychodzącą z budynku, wsiadającą do wyglądającej jak rupieć Dacii Logana i wyjeżdżającą z parkingu. Tego, że Adam Stelmach, pod kierunkiem którego przygotowała rozprawę doktorską, od poniedziałku jest w centrum ortopedycznym, dowiedziała się

przypadkowo wczoraj rano. Zaraz zadzwoniła do niego z pytaniem, czy jako doktorantka może odwiedzić promotora i kiedy najlepiej. Odpowiedział, że codziennie w samo południe zagląda do niego żona. Brygida przywozi coś świeżutkiego do zjedzenia, ponieważ tego, co dostaje na śniadanie, obiad i kolację, jest jak dla przedszkolaka, a on, mimo że w szpitalu już troszkę zeszczuplał, waży jeszcze za dużo. Wstydzi się powiedzieć, że pielęgniarz pchający wózek na blok operacyjny nazwał go kaszalotem. A po zabiegu, gdy doszedł do siebie, Kazik Długosz ostrzegł, że jeśli nie weźmie się za siebie, to za kilka lat będzie się poruszał o kulach, ponieważ stawy i kości nie udźwigną takiego ciężaru.

– Jeśli myślisz, że położyli mnie w jedyńce dlatego, że jestem profesorem zwyczajnym i kolegą ortopedy, to się grubo mylisz – odpowiada besztającym tonem. Po chwili wyjaśnia już bardziej spokojnym głosem: – W tej sali jest jedyne w całym centrum dłuższe i specjalnie wzmocnione łóżko ortopedyczne. Też wolałbym leżeć w dwójce. Byłoby z kim porozmawiać, choćby o zgrabnych kobietach.

– Nawet w takiej sytuacji tylko jedno ci w głowie.

Jagoda najpierw zdejmuje ramkę z kartą gorączkową z poręczy łóżka, potem odwrócona do okna, poruszając ustami i sylabizując, czyta niewyraźnie napisane *coxarthrosis idiopathica*. Wprawdzie nie zna łaciny, jednak się domyśla, że chodzi o zwyrodnienie stawu biodrowego. Milcząc, robi kilka kroków, pochyła się nad głową Adama

i całuje go w czubek nosa, po czym wysuwa spod łóżka jeszcze nieostygły stołek, na którym siedziała jego żona.

Stelmach nie czeka, aż Jagoda zrobi zatroskaną minę i cichym, wręcz obolałym głosem zapyta go o samopoczucie. Gdy Brygida go odwiedza, zadaje identyczne pytanie i nie licząc na jego odpowiedź, mówi, że na pewno będzie nie gorzej, niż było, bo jest pod opieką znakomitego specjalisty. Ciekawa, jak internauci oceniają doktora Długosza, nie natrafiła na zniechęcające opinie ani o nim, ani o centrum ortopedii. Gdyby było inaczej, to wiceminister zdrowia nie oddałaby swojej matki w jego ręce.

– Przecież mogła ją zawieźć do Konstancina czy do którejś kliniki warszawskiej, gdzie pracują ortopedzi o naprawdę głośnych nazwiskach – komentuje Stelmach. – Wybrała Kazika Długosza. Dlaczego? – pyta i sam sobie odpowiada: – Bo ma złote ręce i głowę nie od parady.

Operacja udała się, ale do takiego zdrowia, jakie miał jeszcze pięć, sześć lat temu, już nigdy nie wróci. Tak mu powiedział Kazik, z którym chodził do podstawówki w Przylepie i dojeżdżał autobusem podmiejskim do liceum na Wzgórzach Piastowskich. Po maturze Kazik dostał się na medycynę we Wrocławiu, Adam na Politechnikę Zielonogórską. Najczęściej widywali się na pastercie i rezurekcji w przylepskim kościele. Kazik, to znaczy doktor Długosz, jest ortopedą i traumatologiem ze stopniem doktora habilitowanego nauk medycznych, lubianym przez studentów kierunku lekarskiego

Collegium Medicum, kandydatem na profesora tytularnego, pod warunkiem że przestanie pić więcej, niż wypada. Ortopeda to specjalista leczący schorzenia i urazy układu kostno-stawowego, ale i chirurg, a który chirurg nie pije? Stelmach słyszał, że najczęściej wylewają za kołnierz patomorfolodzy zwani zimnymi chirurgami, czyli ci lekarze, którzy na zamówienie prokuratorów i sędziów przeprowadzają sekcje zwłok. Rozumie ich. Nikt trzeźwy nie wytrzymałby plądrowania w gnijących ciałach, żeby wykryć przyczynę śmierci.

– A co u ciebie, Jagódko? Jak twoje samopoczucie? – pyta niespokojnie Stelmach. – Zmieniłaś się na twarzy czy w tym oświetleniu tak mi się wydaje?

– Nie obawiaj się, jeszcze nie jestem w ciąży, chociaż po ostatnim naszym bara-bara czułam się tak, jakbyś już coś zasiał – odpowiada bez namysłu Jagoda. – Nie oznacza to, że nie chciałabym mieć dzidziusia z tobą. Najlepiej chłopca, żeby był taki mądry... jak ty, Adamie. I atletyczny, lecz nie za gruby. Czy żaden lekarz nie powiedział ci, że powinieneś zrzucić trochę kilogramów?

Stelmach zbywa jej uwagę milczeniem, a w myślach krzyczy: Nic z tego nie będzie! Jestem bezpłodny! Lekarze w białostockiej Klinice Bocian, do której zawiozła go Brygida zaraz po wypadku w laboratorium instytutu, potwierdzili to, ale i powiedzieli, żeby nie tracił nadziei, bo może kiedyś sytuacja się zmieni i jego organizm zacznie produkować tak silne plemniki, że spłodzi bliźniaki lub trojaczki albo – czego serdecznie mu życzą – czworaczki.

– Teraz, poza twoim zdrowiem, najważniejszy jest mój doktorat. Póki nie skończę tego, co zaczęłam z twoją pomocą, myślenie o dziecku muszę odłożyć na zaś. Do czterdziestki zostało mi pięć pełnych. Powinnam zdążyć urodzić i przy... twojej, Adamie, pomocy wychować. Jednak najpierw doktorat. Muszę mieć ten stopień najpóźniej do końca czerwca, żeby od lipca, kiedy zakończy się moja kadencja, móc nadal szefować radzie nadzorczej Elektroinstalę. Taki warunek postawiło ministerstwo. Za starego ministra mogłam ściemniać, że już, że najpóźniej, że... Z tym nowym się nie da. Legalista do sześcianu. *Dura lex, sed lex.*

– Surowe prawo, ale prawo. A prawo jest po to, żeby go przestrzegać.

– Znam takich, którzy parafrazują: durne prawo, ale prawo.

– Denerwujesz się? – pyta Stelmach i nie czekając na potwierdzenie, mówi, że jeśli Jagoda się denerwuje, jest to jak najbardziej prawidłowy stan organizmu. – To znaczy, że poważnie traktujesz swoje zadanie. Tylko ktoś z zupą pomidorową tam, gdzie jest miejsce na mózg, twierdzi, że się nie denerwuje.

Jagoda kładzie dłoń na prawym przedramieniu Stelmacha, jakby ten gest miał być podziękowaniem za to, co powiedział.

– Wiedz, że ja, mimo iż jestem tylko promotorem twojej pracy doktorskiej, także się denerwuję. Może jeszcze bardziej niż ty. Po pierwsze dlatego, że chciałbym,

abyś podczas obrony wypadła jak najlepiej i nikt spośród członków rady dyscypliny, czy jak to się teraz nazywa, nie miał żadnych wątpliwości, że zasłużyłaś na ten stopień. Po drugie, Jagódka, że dla mnie jesteś kimś więcej niż kolejną doktorantką. – Podnosi jej dłoń do ust i całuje czubek palca serdecznego. – Wyobraź sobie, że denerwowałem się nawet przed egzaminem na prawo jazdy. Tego dnia zdawało dziewięciu kandydatów na kierowców. Zdał tylko jeden.

– Ty.

– Ja – potwierdza zadowolony z tego, że nie miała wątpliwości. – Dość o mnie. Opowiadaj. – Bardziej nakazuje, niż zachęca.

Jagoda mówi, że wczoraj na stronie internetowej instytutu pojawił się komunikat dotyczący publicznej obrony jej rozprawy doktorskiej. Identyczna informacja wisi w gablotach przy dziekanacie wydziału i rektoracie. Oprócz tematu dysertacji, nazwisk promotora i recenzentów jest podane miejsce, godzina i dzień. Piątek, ósmego lutego. Zawiadomiła przewodniczącego rady dyscypliny, że promotor przebywa w szpitalu, gdzie przeszedł operację wymiany stawu biodrowego. Nie wiadomo, czy do wyznaczonego dnia opuści lecznicę o własnych siłach, a bez promotora obrona dysertacji nie może się odbyć. I drugie: jeżeli promotor do ósmego lutego opuści szpitalne łóżko, to czy będzie w stanie wejść po schodach do sali na drugim piętrze, gdzie ma się odbyć zebranie? Co innego, gdyby w budynku instytutu

była winda. Zasugerowała przeniesienie obrony do sali na parterze, lecz przewodniczący rady dyscypliny uznał to za złamanie wieloletniej tradycji. Jego zdaniem, jeśli promotor nie będzie mógł samodzielnie wejść na drugie piętro, to trzeba będzie go wnieść.

– Nie obawiaj się, Jagódko, że coś wyjdzie nie tak, jak powinno. Obrona twojej rozprawy doktorskiej została wyznaczona na piątek za trzy tygodnie, prawda? – upewnia się Stelmach, a Jagoda potwierdza to kiwnięciem głową i przymknięciem oczu. – Do tego czasu na pewno wyjdę ze szpitala. Muszę wyjść. Zresztą co będę tu robić tak długo? Jeszcze nie będę chodzić jak dawniej, ale przy pomocy kul, powolutku dam radę dostać się nawet na drugie piętro. Teraz leczy się szybko i szybko wraca do zdrowia. Centrum ortopedii, podobnie jak inne szpitale, nie trzyma pacjenta długo, bo to za dużo kosztuje. Współczesna medycyna korzysta z osiągnięć techniki, jakiej dawniej nie znano. Na szczęście ciągle jeszcze lekarz jest lekarzem, ale już bez pomocy inżyniera niewiele może zrobić. Takie czasy. A niedługo dojdzie do tego, że sztuczna inteligencja nie tylko rozpozna chorobę, lecz i określi metodę leczenia. Rola lekarza sprowadzi się do formalnego nadzoru nad tymi wydarzeniami i złożeniu podpisu na karcie leczenia. Powoli mijają te czasy, kiedy medyk musiał znać się na wszystkim. – Zamyśla się. Tkwi nieruchomo ze wzrokiem wycelowanym w Jagodę, co nie trwa długo. – W poniedziałek rano Brygida przywiozła mnie do centrum. Jeszcze tego samego dnia do

wieczora przeszedłem wszystkie podstawowe badania. Wprawdzie niewiele ich było do wykonania, bo na szczęście zachowały się wyniki z zeszłego roku, kiedy doktor Długosz wymienił kości stawu w moim prawym biodrze, ale czułem się wypompowany. We wtorek z samego rana sanitariusz zawiózł mnie na blok operacyjny. Po dwóch godzinach wróciłem do sali z endoprotezą lewego stawu. W środę leżałem plackiem na łóżku bez jedzenia. Mogłem napić się jedynie wody. Wczoraj zaraz po porannym obchodzie przyszedł rehabilitant i zaczął przygotowywać mnie do ćwiczeń. Przed kolacją przy jego pomocy zrobiłem kilka kroków od łóżka do ściany i z powrotem. – Stelmach uśmiecha się do Jagody. – Na pewno będzie dobrze ze mną i dobrze z tobą.

– Mogłeś poczekać, aż obronię doktorat i dopiero wtedy poddać się operacji. A ty nawet nie pisałeś słowem, że masz zamiar wybrać się do szpitala – wypomina mu Jagoda. – Miesiąc w tę, miesiąc w tamtą ma znacznie przy zawale serca, ale nie w przypadku zwyrodnienia stawu biodrowego, tym bardziej że niedawno kupiłeś sobie Highlandera i wszędzie możesz nim dojechać. Moja służbówka również jest do twojej dyspozycji.

Stelmach potakuje, jakby przyznawał jej rację, po czym wyjaśnia, że nie mógł postąpić inaczej. W zeszłym roku zaraz po endoprotezoplastyce prawego stawu, na którą cierpliwie czekał ponad dwa lata, doktor Długosz wypisał mu skierowanie na identyczny zabieg lewego stawu. Był w kolejce na dwieście sześćdziesiątym

drugim miejscu, co oznaczało, że operacja odbędzie się nie wcześniej niż pod koniec przyszłego roku.

– Poprzedniego piątku, tak koło południa, ku zaskoczeniu Brygidy Kazik do niej zadzwonił. Powiedział, że ma pilną sprawę do mnie, wybiera numer, który kiedyś wklepał do swojej komórki, lecz automatyczna sekretarka odpowiada, że połączenie nie może być zrealizowane. Brygida wyjaśniła mu, że mimo iż od niedawna mam nowy telefon i nowy numer, na ogół nie odbieram rozmów, których nie zapisałem w kontaktach. Wtedy Kazik poinformował ją, że jeśli się zgodzę na przyspieszenie wymiany lewego stawu, a powinienem, to ma mnie przywieźć do centrum rano w poniedziałek. Na pewno w szpitalnym archiwum jest dokumentacja zeszłorocznej endoprotezoplastyki prawego stawu, ale musiałby poprosić sekretarkę o pomoc, a o przyspieszeniu operacji nikt spośród personelu centrum nie powinien wiedzieć.

– Nie przyszło temu doktorkowi do głowy, że najlepiej zrobi, jeżeli zadzwoni do instytutu i poprosi o połączenie z profesorem Stelmachem? – prycha wyniośle Jagoda. – A skąd to nagle przyspieszenie?

– Ktoś, kto był w kolejce na zabieg, przeniósł się do wieczności, o czym rodzina poinformowała nie sekretariat oddziału, a wprost Kazika. Formalnie zwolnione miejsce powinna zająć następna osoba czekająca na zabieg, ale wtedy sekretarka musiałaby się z nią skontaktować i pewnie nie obeszłoby się bez długiego

wyjaśniania. Nikomu nic nie mówiąc, Kazik zadzwonił do Brygidy, ta podała nowy numer mojej komórki i ka-zała mu napisać esemesa. Dlatego rach-ciach i już jest po zabiegu. Teoretycznie najpierw powinienem przejść rehabilitację przedoperacyjną, ale nie było na to czasu. Zresztą Kazik jest tej klasy specjalistą, że nie czeka Bóg wie na co. Teraz tylko rekonwalescencja, tydzień wstępnych ćwiczeń z rehabilitantem i hajda do domciu. Oczywiście tak zaraz nie wrócę do normalnej pracy na uczelni, z czego pewnie cieszą się studenci, bo nie będę ich egzaminować, co nie oznacza, że nie pojawię się na obronie twojego doktoratu. – Stelmach znowu podnosi lewą dłoń Jagody do ust i całuje czubek jej palca serdecznego. – Za trzy tygodnie będziesz panią doktor nauk technicznych w zakresie inżynierii elektrycznej czy jak to się teraz nazywa.

– Obyś, profesorze, miał rację – mówi niespokojnie Jagoda, jakby mu nie wierzyła. – Pamiętaj, Adam, że jeśli mnie zawiedziesz, to...

– Wiedz, o-em-ce doktorko, że ja nigdy się nie mylę – zapewnia stanowczym głosem Stelmach, nie pozwalając jej dokończyć zdania. – Jeszcze się nie zdarzyło, żebym przegrał. Nigdy.

– Jesteś, Adamie, zbyt pewny siebie, a to nie zawsze dobrze wróży. Przysłowie mówi, że pokorne cielę dwie matki ssie.

Już miał na końcu języka, że niedługo będzie dumna ze znajomości z nim, gdy przypomniał sobie, że szef

zarządu regionalnego partii rządzącej w kraju prosił go, żeby na razie nikomu nie wyjawiał, o czym rozmawiali jakieś dwa tygodnie temu. Szef się przedstawił, ale jego nazwisko wyleciało Stelmachowi z głowy. Zresztą nigdy nie należał do żadnej partii i nie interesował się polityką, nawet nie wie, kto jest premierem. Partyjniak, notabene poseł czy senator, pochwalił się, że jest absolwentem zielonogórskiego Wydziału Elektrycznego, pracował w Lumelu, nosi się z zamiarem utworzenia przewodu doktorskiego. Na razie rozważa, którą uczelnię wybrać i jaki problem rozpracować, ale to zadanie do omówienia podczas osobnego spotkania. Gdyby profesor miał jakąś propozycję, jest gotów ją przeanalizować.

W piątek przed południem, kiedy jeszcze Stelmach nie wiedział o rozmowie doktora Długosza z Brygidą w sprawie numeru jego komórki, szef zarządu regionalnego partii współrządzącej bez zapowiedzi przyszedł do dziekana wydziału, który jest jego kolegą z lat studenckich, a potem do Stelmacha. Po kilku okrągłych zdaniach powiedział, że ma pewną propozycję wagi państwowej.

– Propozycja nie do odrzucenia, profesorze – zaznaczył, jakby się spodziewał, że Stelmach go zlekceważy.
– W koalicyjnym podziale odpowiedzialności nasza partia obsadza stanowiska w kluczowych resortach gospodarczych, między innymi w Ministerstwie Klimatu i Środowiska. Mnie kierownictwo partii zobowiązało do poszukania odpowiedniego kandydata na stanowisko

wiceministra w randze sekretarza stanu odpowiedzialnego za energetykę. Jest kilka osób, które znajdują się w kręgu mojego zainteresowania, wśród nich pan, profesorze Stelmach. Jeśli kierownictwo partii zatwierdzi moją propozycję, w co nie wątpię, stanowisko będzie do objęcia najpóźniej pod koniec lutego.

– Rozumiem, że w tej chwili nie spodziewa się pan odpowiedzi.

– Daję panu, profesorze Stelmach, tydzień do namysłu. Wystarczy? Musi. Teraz takie czasy, że kto szybko daje, ten dwa razy daje.

– Najpierw na ten temat porozmawiam z żoną. Z pięć lat temu dostałem propozycję objęcia funkcji urzędującego wiceprezydenta EURELU, co wiązało się ze zmianą miejsca zamieszkania.

– Czego?

– The Convention of National Societies of Electrical Engineers of Europe. – Domyślając się, że partyjniak nie zna angielskiego, przetłumaczył nazwę stowarzyszenia na polski i objaśnił, że zrzesza krajowe związki elektryków. – Nie pojechałem do Brukseli nie dlatego, że nie chciałem. Chciałem, lecz żona stanęła okoniem. Jak będzie tym razem...

– Odezwę się w przyszły piątek, panie profesorze. Aha, na razie to musi pozostać tajemnicą, dlatego nikomu o tym ani... – Partyjniak położył palec wskazujący na ustach. – Do widzenia, panie przyszły pierwszy wiceministrze. I być może promotorze mojej dysertacji doktorskiej. – Po chwili wrócił. – Zapomniałem o najważniejszym.